

M. J. MIGOWA.

ŻYJE!...

(Dokończenie).

Pan Ferdykiewicz ironii nie odczuł i wziął słowa Stasi za komplement...

— Ha! trzymam się, bo się człowiek szanuje, żyje solidnie, statecznie, zdrowia nie niszczy na hulankach, tak jak to młodzież dzisiejsza... Dwie bombki piwa wieczorem i o jedenastej godzinie w łóżeczku... Hygienicznie!... To też śmiało powiedzieć mogę, że moja przyszła żonczka będzie ze mnie zadowolona...

Stasia milczała, skubiąc machinalnie futerko swojego zarękawka... Może przed jej oczyma stanęła gniewna twarz matki lub czoło ojca poorane fałdami ciężkiej, codziennej troski...

Pan Ferdykiewicz, jakby zachęcony milczeniem panienki, ciągnął dalej:

— Śmiało to powiedzieć mogę, że posiadam wszystkie warunki, aby uczynić kobietę szczęśliwą... Nie chwając się, panien, któreby za mnie poszły, znalazłbym na tuziny, ale ja upodobałem sobie jedną... Panno Stasiu, pani wie którą...

— Nie...

— Bo pani nie chce wiedzieć, nie chce rozumieć...

Stasia podniosła nagle oczy, spojrzała na świecąca tłuszcem twarz pana Ferdykiewicza i głosem głuchym, bezdźwięcznym rzekła:

— Owszem wiem i rozumiem i jeżeli pan chce, będę pańską żoną...

* * *

W domu państwa Rychlikowskich zapanował radosny nastrój.

Matka na wiadomość o zaręczynach Stasi załaziła się łzami rozczulenia i otworzyła szeroko ramiona, aby w nich utulić „marnotrawną córkę“.

Lola i Juluś przyjęli nowinę radosnymi krzykami i skokami. Nawet ojciec, który odgadywał, co się w sercu córki dzieje, odetchnął lżej...

— Przynajmniej Stasia będzie miała zabezpieczoną przyszłość, wolną od tych codziennych, drobnych, a jak ukłócie szpilką przykrych trosk, braków, niedoborów... — pomyślał.

Cała rodzina Rychlikowskich była przyszłym zięciem i szwagrem zachwycona...

Okazywał on wielką uprzejmość i hojność... — Lola już dwa razy zepsuła sobie żołądek homarem i sardynkami, a raz zachorowała na zęby z przejedzenia cukierkami...

Juluś, puszczając mimo uszu wszelkie napomnienia i strofowania, palił papierosa za papierosem z tytoniu dostarczonego mu przez przyszłego szwagra.

Stasi ofiarował narzeczonemu piękny garnitur skunksowy „między przyjaciółmi 500 K wart“, jak osądziła pani Rychlikowska i kupił pierścionek zaręczynowy z brylantem, „że buzi dać“ również wedle wyrażenia mamy Rychlikowskiej.

Pan Ferdykiewicz nalegał, aby ślub odbył się szybko, jak najprędzej, zaraz po Nowym Roku.

Znaleźli się złośliwi, którzy szepotali, że praktyczny kupiec spieszy się, ponieważ od pierwszego stycznia wymówił miejsce swojemu buchalterowi, którego obowiązki miała objąć w przyszłości Stasia.

— Dwieście koron w kieszeni, co miesiąc, a przytem gospodyni w domu, no i młoda, ładna żona, a że biedna, to i bez grymasów... To lepsze niż posag z fochami! O ten Karol ma głowę! — orzekł jeden z kolegów „piwoszków“ Ferdykiewicza.

Zatem w domu Rychlikowskich gorączkowo przygotowywano się do wesela i na gwałt wykańczano wyprawę. Mama oświadczyła mężowi, że Stasia musi mieć wyprawę odpowiednią do świetnej partyi, jaką robi, i że pieniądze na to trzeba wydestać, choćby „z pod ziemi“. Biedny ojciec w rzeczywistości pieniądze wydestał, czy jednak z pod ziemi, czy też na dobry procent od jakiegoś dyskretnego dobroczyńcy ludzkości — niewiadomo...

— Nasza Stasia z Nowym Rokiem rozpocznie nowe życie... mówiła z rozczuleniem mama Rychlikowska.

Koło tych wszystkich przygotowań do „nowego życia“ krzątała się Stasia cicha, spokojna, zrezygnowana, ani jednym słowem, ani jednym drgnięciem twarzy nie zdradzając przed nikim tego, co czuła i myślała.

Lola zato śpiewała i skakała z radości na myśl o weselu siostry, na którym wystąpić miała jako

pierwsza drużka w różowej, gazowej sukni, darze uprzejmego pana Karola. W szkole opowiadała koleżankom z dumą cuda o uczcie weselnej, mającej się odbyć w jednym z pierwszorzędnych hoteli, „z majonezem, szampanem, lodami“.

Jednego tylko nie mogła odżałować.

— Jaka to szkoda, że tańców nie będzie...

— Trudno, moje dziecko — perswadowała pani Rychlikowska — wojna, nie wypada...

— No ja wiem, że wojna, ale coby to właściwie komu szkodziło, żebyśmy trochę potańczyli...

Musiała jednak z tego zrezygnować, punkt tańców odpadał, natomiast uczta z szampanem i majonezem, nowa gazowa suknia, zapowiedziane kwiaty, karety — wszystko to wprawiało Lolę w zachwyt, graniczący z ekstazą...

* * *

Rok stary dobiegał do końca, a wraz z nim miała się skończyć wolność panińska Stasi...

Im bliższym był dzień ślubu, tem radośniej wyśpiewywała Lola, a tem bledszą i smutniejszą stawała się Stasia...

Zato pani Rychlikowska promieniała radością i coraz wyżej podnosiła głowę, słuchając gratulacji przyjaciół, często cierpko kwaśnych i pochwytnych zazdrosne spojrzenia mam, które miały także córki na wydaniu.

— Ta jędza Olszykiewiczowa — mówiła z zadowoleniem — już zółtaczki dostała z zazdrości... O! wiem, jak ze swoją piegowatą Ludką zastawiały sieci na pana Karola...

Biedna mama Rychlikowska ani śniła, ani przezuwała, kołysana różowymi nadziejami, jaką jej zawistny los gotował niespodziankę...

W dzień Nowego Roku, Stasię jako główną teraz osobę w domu, zasypywano życzeniami, skoro tylko rano otworzyła oczy...

Naprzód pochwyciła ją w swoje ramiona rozczulona matka, potem nadbiegła Lola, życząc dużo, dużo szczęścia w tem „nowem życiu“, a nawet Juluś, który począł z pewnym szacunkiem spoglądać na przyszłą panią Ferdykiewiczową, wygłosił z odpowiednim patosem następujące życzenie:

Ile liści na kapuście,
Ile bab jest na odpuszcie,
Ile panien do zamęścia,
Tyle Stasi życzę szczęścia“.

Ogólną harmonię zepsuła tylko Kasia, kucharka i pokojówka w jednej osobie, „sturmak od szczególnych poruczeń“, jak się górnolotnie wyrażał Juluś. Kasia bowiem we wdzięcznej pamięci chowała dawnego narzeczonego Stasi.

— „Wienszuje“ panience zdrowia, szczęścia „fortuny“, a po śmierci w niebie korony i żeby panienka była szczęśliwą z tym grubym panem... Choć po prawdzie, to pana Jurka szkoda, ale jak go zabili, to cóż robić... Jak się mój Staszek nie wróci, to ja sobie także będę musiała poszukać innego...

Przestań pleść głupstwa i idź do kuchni! — krzyknęła rozgniewana pani domu, która spostrzegła, że powieki Stasi zadrgały...

— O co się pani gniewa?! Prawdę mówię, do bry był pan, jak miał pieniądze to i koronę i dwie człowiekowi w rękę wetknął, a nie miał, to też nie było żal, bo się tak poszcziwie, tak ładnie patrzył, że ktoby miał sumienie tego centa od niego wygłądać... No, ja na „Fyrdakiewicza“ nic nie mówię, niechże się pani nie gniewa!... Mam i ja rozum i wiem, że jak mus, to mus!

— Kasiu, mówię ci, idź do kuchni!

— A dyc idę, już idę!

— Katarzyna Medycejska, do kuuuchni! — zaśpiewał Juluś.

— Ino niech panicz nie przeżywa, żebym przy tym świętym nowym roku nie naklena!

W ślad za Kasią, która w tym wypadku odegrała rolę „enfant terrible“, pojawiła się stróżka, a za nią listonosz, kominiarz i inni gratulanci, oczekujący w zamian za swoje życzenia brzęczącej podzięką.

Była to zwykła praktyka noworoczna, ale tym razem wszystkie życzenia bez wyjątku skierowane były ku Stasi, bohaterce dnia, której świetne zamążpójście było tematem rozmów w całej kamienicy...

Dzwonek u drzwi wejściowych odzywał się co chwila...

Piegowata Ludka Olszykiewiczówna również pospieszyła z wyrazem swych uczuć, przyczem nie omieszkła dodać uwagi:

— Kochana Stasia taka blada, mizerna, to pewnie ze wzruszenia... Małżeństwo to zawsze ryzyko... Nie wiem, czy jabym się zdecydowała tak szybko...

W odpowiedzi na to Juluś, czyniąc aluzję do trzech panien Olszykiewiczówn, Ludki, Niusi i Luśni zaśpiewał:

„Miała mama córek trzy,
Panny siedzą, leją łzy,
Bo choć w domu dobry wikt,
Nie zjawił się dotąd nikt!“

Naturalnie Julisia, za tak niestosowny przyspievek wyrzucono za drzwi, a obrażoną Ludkę zdołano jako tako ułagodzić... Skoro jednak tylko piegowata panna Olszykiewiczówna zniknęła za drzwiami, pani Rychlikowska roześmiała się zadowolona i zawołała na syna:

— Juluś, doskonałeś jej zaśpiewał!

— A widzi mama!... Ja jeszcze w kabarecie będę!...

Nareszcie nastała chwila ciszy, Rychlikowskie odetchnęły, a mama zaczęła przynaglać Stasię, aby się szybko ubierała, bo „Karol“ zaraz przyjdzie.

Nagle w przedpokoju zadzwieczał znowu dzwonek, euergetycznie naciśnięty.

— Któż to znowu?! Może znowu jaki gratulant! — zawołała wystraszona Stasia.

— Może to pan Karol?

— Nie! nie! — zaprzeczyła mama — on nie dzwoni tak silnie! Lolu idź otwórz, zobacz kto taki!

Lola pobiegła, a po chwili ozwał się jej cienki donośny głos:

— To telegram dla Stasi!...

— Co?!

— Telegram dla mnie?! — krzyknęły Stasia z matką równocześnie.

Serce Stasi szarpnęło się w piersi jakimś nieokiełbanym przecuciem. Poskoczyła ku siostrze, wyrwała jej z ręki papier, rozwinęła go i drżącym głosem czytała:

„Chorowałem... tyfus... ranny... jeszcze bardzo słaby... list napiszę...“

Jerzy“.

— Boże, dzięki Ci! — krzyknęła Stasia.

W okrzyku tym zabrzmiał cały bezmiar szczęścia, moc dziękczynna, wydzierająca się z serca, w którym dopełnił się cud zmartwychwstania...

Zapanowała cisza...

Rodzina Rychlikowskich stanęła w osłupieniu, na coś podobnego nikt nie był przygotowany...

— To ci pasztet dopiero! — wykrzyknął Juluś pierwszy po długiej chwili milczenia.

Matka zdołała ochłonąć trochę ze zdumienia i siłując się na spokój, rzekła:

— A to bezczelność poprostu! Telegrafuje sobie, jakby to kogo obchodziło, czy on żyje, czy nie żyje! A niechże sobie żyje, jak długo zechce, ale cóż to obchodzić może naszą Stasię, narzeczoną pana Karola Ferdykiewicza...

Nazwisko przyszłego zięcia wymówiła z nakiem i dumą.

Stasia ochłonęła z zachwycenia, w jakie pogrzyła ją wieść radosna, wieść niespodziana...

Energicznym ruchem zdjęła z palca pierścionek zaręczynowy i położyła go przed matką:

— Mamo, oddaj mu ten pierścionek, wszystkie jego podarunki... Powiedz mu, że mój narzeczonny żyje i ja muszę dotrzymać słowa danego dawniej... Zresztą powiedz mu co chcesz, ale ja za niego nie pójdę...

W głosie Stasi zabrzmiał ton tak stanowczy i silny, że matka ujrzawszy swoje różowe plany obrócone w niwecz.

Próbowała jednak oponować.

— Oszalałaś?! Zrywać teraz, kiedy pierwsza zapowiedź już wyszła!! Wyprawa gotowa, suknia ślubna w robocie! Co ty sobie myślisz?! Czy ty mnie chcesz do grobu wpędzić?!

— Wyprawa poczeka na mnie, aż Jurek powróci...

— Taka wyprawa dla tego obdartusa, nędzarza, cygana?! Samych koszul batystowych trzy tuziny, prześcieradeł webowych dwa tuziny, powłóczki ze wstawkami! Tyle pieniędzy, jak w błoto wrzucił...

— Ach! mamo, mamusiu, pomyśl tylko, on tam chory, ranny myśli o mnie, wierzy mi, ufa, a ja bym miała... To przecież niby cud jakiś, ta wiadomość, która przyszła dzisiaj w dzień Nowego Roku, jakby wskazując mi drogę do nowego życia, do szczęścia... Mamo, on żyje, czy ty rozumiesz, on żyje!

— Mam się też z czego cieszyć! Boże! taka kompromitacja, taka straszna kompromitacja! To nawet przyszłości Loli może zaszkodzić!

— Tak! ja może przez to za mąż nie pójdę, bo mam siostrę waryatkę — zawodziła Lola.

— A... a... mój pursiczan?! — rozpaczliwie wołał Juluś.

— A moja suknia?!

— Ten malarz, to on sam zawsze szporty pali!..

— A wesele z majonezem?

— A szampan?!

— Ach! ta plotkarka Olszykiewiczówna odżyje!